

PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Rok VI. Nr. 11 Prenumerata roczna 4.50 Listopad 1926

O Śmierci (z pism ś. p. Jener.).

Wiemy, że śmierć jest karą, kara nie jest jednak zemstą. „Qui aime bien châtie bien“. Kto mocno kocha, mocno też karze. Bóg, który kocha nas więcej, aniżeli my kochać możemy jakiegokolwiek stworzenie, daje nam dowód swojej miłości nadewszystko w karze śmierci.

Wielka to łaska być karanym tu na ziemi. Wszystkie otrzymane łaski są to długi, któreśmy zaciągnęli. Im więcej kto otrzymał, tem więcej oddać winien. Każda nowa łaska zwiększa nasz dług u Boga, nie dając możności uiszczenia się z niego, tylko kary boże dają nam w pewnej mierze tę możność.

Człowiek, który podlega karze śmierci, uiszcza się sprawiedliwejście ludzkiej. Jakiś święty, przygotowujący skazańca na śmierć, ścisłał go i pocieszał mówiąc: „Jeżeli przyjmiesz tę karę w duchu pokuty, to nas powitasz w niebie“.

Uważajmy zatem śmierć, jako łaskę nad łaskami. Nic nam nie daje pewności, żeśmy za nasze winy dostatecznie odpokutowali; możemy nawet być przekonani, że tego sami z siebie dokonać nie jesteśmy w stanie.

Nędzne istoty, jakżeż możemy zadość uczynić za obrazę Boga. Tylko zasługi Chr. Pana mogą spłacić nasz dług wdzięczności i zadosyuczynienia.

Ale to co On dla nas uczynił może być bezowocnem, jeżeli z tego korzystać nie będziemy, łącząc się z Nim wszystkimi siłami naszego serca, naszej woli, używając wszelkich środków, aby mieć udział w dziele Jego odkupienia.

Jeżeli wszystkie nasze uczynki o tyle tylko mają wartość, o ile są wykonane w łączności z Chr. P. to nadewszystko nasza śmierć stanie się aktem zadosyuczynienia o tyle tylko, o ile łącząc się będzie z zadosyuczynieniem jakie Chr. P. złożył za nas umierając na krzyżu. Inaczej będzie ona ciężką a bezowocną próbą.

Kardynał Perraud mówił, że do każdej rzeczy ważnej, trzeba się przygotować. Przed napisaniem ważnego listu, pisze się bruljon, przed koncertem, przedstawieniem, odbywają się liczne próby, przed wojną przeglądy i rewje wojskowe. W jakiż więc sposób przygotować się do tej tak ważnej sprawy, jaką jest śmierć? Trzeba się stawić wobec śmierci Chr. P. bo to jest środkiem do otrzymania wszelkich łask, to jest podstawa naszej nadziei.

Rozmyślanie nad śmiercią Chr. P. jest najlepszem przygotowaniem do naszej własnej śmierci. Śmierć Chr. jest źródłem dla nas życia. Ile razy spojrzymy na krzyż, myślimy o śmierci Chr. P. i przygotowujemy się do naszej własnej śmierci.



Z Życia P. Jenerałowej (młodość) 16.

Stosunek P. Birt z Matką moją stawał się coraz przykrzejszym; wpływ p. X coraz dotkliwszym i wszechmocniejszym w domu, tęsknota do siostry coraz żywsza, jakieś opieki rozciągane nad nami ze wszystkich stron przez rozmaite pobożne panie, przyjaciółki P. X. i dużo innych rzeczy, były zarazem i bolesne i nużące.

Wśród tego wszystkiego, zakosztowałam jednak wielkiej radości, a właściwie pociechy. Dom nasz frontem wychodził na rynek, a bokiem ciągnął się wzdłuż ulicy Franciszkańskiej; po drugiej stronie uliczki był dom starej Pani Berwińskiej, której syn był kolegą gimnazjalnym brata. Wszystko zaś co go dotyczyło, przybierało w moim umyśle rozmiary nadzwyczajne i wydawało mi się zawsze wyjątkowo zajmującym i zajęcia godnem. Tak i ten młody Berwiński, chociaż go nie znałam i nie byłam nigdy widziała, ale że go brat kochał jak przyjaciela, dla mnie miał wyjątkowe znaczenie.

To też kiedy razu jednego dowiedziałam się, że zachorował na tyfus, tak mnie to obeszło, jakby osobiste wielkie zmartwienie, a wiadomość o jego śmierci głęboko mnie dotknęła.

To też z największym wzruszeniem słuchałam co mi brat mówił o biednej Pani Berwińskiej, która z wyjątkiem syna poety i córki Pni Mizerskiej, wszystkie t. j. jeżeli się nie mylę 7-ro dorosłych synów i córek była straciła. Można też sobie wystawić, co się we mnie działo, kiedy brat poprosił Matkę, żeby mi pozwoliła odwiedzać tę biedną staruszkę. Matka zezwoliła, brat mój tam mnie zaprowadził. Tom ten był dla mnie jakby świątynią. Myśl, że brat mój uważał, że ze mnie może być pożytek, że się mogę przyczynić do rozerwania, pocieszenia matki zmarłego przyjaciela, była dla mnie radością nie do opisania.

Pni Berwińska stała się dla mnie tak drogą i tak namiętnie kochaną, jak nią była Pna Birt i moja siostra, jak niegdyś Pn Lipiński w Oleszycach i ukochana przezemnie mamka. Co tylko miłość natchnąć może usłużności, uwagi i najrozmaitszych wymysłów dla pociechy i rozrywki biednej utrapionej, to wszystko czyniłam, a jak brat przychodził mi czasem *podziękować*, że mi się udało panią B. ucieszyć moją rozmową i przywiązaniem, to radość moja przechodziła wszelkie granice. Ona mi się też sownie odplaciła miłością za miłość.

Co mi też dziwnie ten stosunek uprzyjemniało, to że go nikt nie ganił i nikt mi w nim nie przeszkadzał. Matka, która pod względem wszelkich dla nas stosunków była zawsze bardzo trudną, wcale się w tym przypadku nie zdawała niepokoić. Ojciec się wyraźnie cieszył, że umiem stać się pożyteczną. Dość, że ten stosunek z Panią B. która musiała mieć wówczas około 70 lat, został jednym z najmiłszych wspomnień mego poznańskiego życia.

Ona też takt w nim okazała niezrównany. Nigdy mnie nieypytywała o nasze wewnętrzne stosunki, nigdy nie stawiała ciekawych zapytań, a ciągle powtarzała, że w każdym życiu zachodzą trudności, że trzeba niejedno pominąć, niejedno cierpliwie znieść, że trzeba mieć wyrozumiałość na ludzkie ułomności, że częstokroć ludzie bezwiednie dokuczają i szkodzą, że czas i cierpliwość niejedno poprawią i t. d. Zawsze też z niezmiernem poważaniem mówiła o moich rodzicach, a chociaż mnie nie potrzeba było tego uczyć, niemniej jednak korzystnie mi było sprawdzić jak i inni ich szanowali i uważali.

Lato zwykle przebywaliśmy w Kórniku, a że w zamku restauracja nie była skończoną, więcemyśmy mieszkały z P. Birt. w domku na tak zwanych piaskach.

Pobyt w Kórniku był dla nas o tyle miłym, że zdarzało się często, że P. X zostawała w Poznaniu, a z jej nieobecnością wszystko swobodniejszem, weselszem się zdawało.

W czasie wakacyj więcej też brata mego wdywałam; uczył mnie konno jeździć, uczył twardego życia. Spał on na jakichś deskach, kłoda pod głową, wełniana koldra nakrywała to legowisko i służyła za materac. Brat dowodził mi, że szczęście i siła człowieka nie na tem zależy co posiada, ale na tem bez czego obejść się może. Że Polakowi mianowicie, nie wolno z żadnej ulgi korzystać dla siebie, dopóki kraj cały na męki skazany. Coś zjeść, coś wypić bez gwałtownej potrzeby, jedynie dlatego że do smaku, było w jego oczach podłością i jakby zbrodnią przeciw miłości Ojczyzny.

Tak samo sądził, że wszelka zabawa, nauka, czytanie, zajęcie się czemkolwiek bądź, co nie miało podźwignienia kraju na celu w wyraźny sposób, było rodzajem zdrady względem Ojczyzny; jakby kradzieżą tego, co wyłącznie do niej należeć powinno.

Chłopów cenił i szanował, a i ja ich kochałam. Między Kórnikiem a Bninem, był duży dom tak zwany dawną Falbiernią, gdzie mieszkało kilkanaście rodzin komorniczych; tamemyśmy biegli każdy swoją drogą w wolnych chwilach i zanosili im cokolwiekeśmy mogli zaoszczędzić na sobie.

Przy stole mieliśmy zwykle dwa talerze, jeden na stole, z któregośmy jedli, a drugi na kolanach, na któryśmy spuszczały wszystko cośmy sobie odmówili t. j., że wzięwszy na własny talerz tyle, ile nam się sprawdziłowie należało wśród obiadu, z własnego talerza spuszczałyśmy na ten drugi talerz połowę naszej stawy.

Robiliśmy to z największą uwagą, żeby nas nikt nie widział, ale gdy o tem dzisiaj myślę, trudno mi wierzyć, ażeby w istocie nikt tego nie widział. Musiała być jakaś umowa ogólna, ażeby nam w tem nie przeszkadzać, bo nikt na to uwagi nie zwracał.

Ledwo się obiad skończył, a zawiąziłyśmy talerze w przygotowane zawczasu papiery i uciekałyśmy z nimi do Falbierni.

Ale nie na tem się kończyło; co tylkośmy posiadali, tośmy dawali; czasem w istocie brakło nam najpotrzebniejszych rzeczy.

Niektórych chorych kochałam tak serdecznie i głęboko, że nie przez litość ani miłosierdzie ich pielęgnowałam i ściszałam, ale tak jak się ścisza i pielęgnuje swoich najdroższych.

Kiedyś pewien Józef, wyzdrowiawszy po ciężkiej chorobie przyszedł do zamku z żoną i synem podziękować za odebrany w chorobie ratunek, a czekając na Ojca, tak mnie po twarzy głąkali i całowali jakby własne dziecko. Gdy Ojciec nadszedł, oni wszyscy odskoczyli odemnie z wielkiem uszanowaniem. Ojciec widząc to rzekł: „Całujcie ją sobie, kiedy ją kochacie“. To zwróciło im zupełną swobodę. Wszyscy nazywali nas Jasiem i Jadziunią.

Mógłby kto myśleć, że życie nasze było bardzo ostrem i ponurem. Spartańskiem było w istocie, ale nie ponurem.

Kiedy Matki mojej pytał kto, czemu nie daje wieczorów tańczących mając mieszkanie potemu i dorastające córki, mawiała: „Jak Polska będzie wolną wówczas będziemy tańcowali i balowali, ale nie przedtem“. Ojciec także często mawiał, że póki nie zdobędziemy wol-

ność dla kraju, to powinniśmy siebie uważać jako zwalczonych i upośledzonych i żadnego sobie pod żadnym względem zbytku nie pozwalać. Ani też pragnęłam czegoś poza tem, co mieć mogłam i wszysk-
kie myśli i pragnienia wyłącznie były obrócone ku przygotowaniu
się do służenia biednemu krajowi w jakikolwiek bądź mogący się
nadarzyć sposób.

P. Birt bardzo lubiła muzykę i w nas tę miłość wpoila. Muzyka
wojskowa w Poznaniu była dobra, a myśmy też lubiły jej się przysłu-
chiwać. Matka twierdziła, że niemiecka muzyka i to wojskowa, nie
może, i nie powinna być dzwłęczną dla polskiego ucha.

Co więcej wojsko, mundury, to wszystko miało jakiś urok dla
nas, co Matkę do najwyższego stopnia oburzało. Nie mogła znieść,
ażebyśmy na ulicy przerywały rozmowę lub wpatrywały się w prze-
chodzące wojsko lub wojskowych. Trzeba było koło nich przechodzić
jak gdyby koło istot nie byłych.

Dzisiaj i nietylko dzisiaj, ale oddawna bo od 48 roku, podzielał
zupełnie zapatrywanie Matki i coraz bardziej czuję, co ona czuła wów-
czas, ale wtedy Prusacy nie budzili we mnie wstrętu okropnego, jak-
iego doznawałam dla Moskall i Ausrjaków. Niedosć umiałam historję
aby ich sądzić z przesłóci, a w terażniejszości zachowanie ich wzglę-
dem Polaków nie miało tej oburzającej cechy, jaką przybrało później.

W istocie zaborcze państwa, jakimś instynktem dziwnym, zdają
się pchane do rozbudzenia w nas nienawiści ku nim. Nasze łagodne,
leniwe, słowiańskie natury muszą potrzebować tego bodźca; zbyt
łatwo byśmy prawdopodobnie zapominali nasze krzywdy i godzili się
na znośną niewolę, żeby nieprzyjaciel sam nie brał coraz na siebie
budzenia nas swoim jadowitem żądłem. Sama tego dzisiaj zrozumieć
nie mogę, że wówczas Prusaków nie rozumiałam, że nie byli dla mnie
tak obmierzłymi, jak się później stali.

Rok 1848 pomógł mi w ocenieniu ich.

O Rozwodach (c. d.)

Poznawszy naukę Chr. P. i naukę kościoła, zastanowimy się
jeszcze nad tem co nam rozum mówi o rozwodach.

Zwolennicy rozwodów twierdzą, że one uzdrowią niemoralność
małżeństw, że zdrada małżeńska zniknie zupełnie, że ustanie złe
pożycie, że będzie większe szczęście w pożyciu małżeńskim, że wsku-
tek tego rozwody staną się rzadsze.

Co na to mówi życie i doświadczenie. Czy w istocie rozwody
są lekarstwem na niemoralność? czy się ilość ich zmniejsza w miarę
łatwości uzyskania? Zajrzyjmy do statystyki. We Francji w 1864 r.
udzielono 1657 rozwodów; w kilkanaście lat później 32.557, czyli 20
kilkna razy więcej. W Ameryce w 1864 r. było 9.000 rozwodów, a wkrótce
liczba ich doszła do 150.000.

A więc łatwość otrzymania rozwodu znacznie ich liczbę powięk-
szyła. Ale może rozwód zapobiega zdradzie małżeńskiej. Ponieważ
powodem do otrzymania rozwodu jest cudzołóstwo, a zatem popełnia
się je umyślnie, by rozwód otrzymać. Tak wygląda to lekarstwo.

Rozwód poniża sakrament małżeństwa. W Rosji i Ameryce do-
szło do zawierania małżeństw na próbę, co jest niczem innym, tylko
prostem wyuzdaniem. Można było czytać w gazetach, że jeden z sę-
dów amerykańskich udzielił w przeciagu godziny 75 rozwodów,

Może rozwód przynosi Państwu pożytek. Czem są cegły dla budynku, tem jest rodzina dla Państwa. Jeżeliby ktoś cegły porozbijał i chciał temi kawałkami budować, jakież byłby budynek. Nie powstałby silne i potężne Państwo z rozbitych rdzy.

Rozwody gubią społeczeństwo i rodzinę. Celem pożycia małżeńskiego są dzieci; jak stoi sprawa dzieci tam gdzie są rozwody? czy dziecko chętnie jest widziane, nie, ono jest kulą u nogi, przeszkodą, dzieci nikną, ludność wymiera.

Celem małżeństwa jest nie tylko wydać dziecko na świat, ale je i wychować. Ono przychodzi na świat, bezsilne, bezbronne i zanim sobie potrafi poradzić, choćby tylko pod względem fizycznym, wymaga wielkich starań przez jakich lat 15, a chcąc je wychować i zabezpieczyć moralnie, na to potrzeba aby przynajmniej lat 20 miało podłoże i ciepło rodziny.

A więc wychowanie jednego dziecka wymaga przynajmniej 20 lat wspólnego pożycia małżeńskiego, a jeżeli więcej jest dzieci o tyle więcej czasu pożycia wspólne potrzeba.

Wreszcie, gdy dzieci są odchowane, trzeba zapewnić kobiecie prawa, bo jej opieka konieczną jest dla rodziny. Dlatego małżeństwo musi być nierozzerwalne.

Co czuje dziecko gdy rodzice się rozwodzą, staje się jakby sierotą, gdy ojciec odchodzi i z inną kobietą, a matka z innym mężczyzną. Serce dzieciinne rozdziera boleść. Ubolewają ludzie nad dzieckiem, gdy śmierć rodziców zabierze, a uważają, że rozwody są rzeczą dobrą.

Może łatwość rozwodu zabezpiecza miłość męża do żony? Gdy małżonkowie wiedzą, że związek ich jest nierozzerwalny, wtedy wzajemnie robią sobie ustępstwo, unikają starć, kiedy chodzi o drobiazgi; kiedy jest łatwość rozwodu zabezpiecza miłość, wtedy drobne powody kłótnie, robi się w domu piekło i dochodzi do rozwodu.

Kościół nie tak rozumie miłość. Św. Tomasz naucza, że miłość im jest większą tem jest trwalszą. Niema większej miłości nad miłość małżeńską. P. Bóg powiada, że człowiek opuści Ojca i Matkę, a przyłączy się do żony swojej. Rodziców kochamy całe życie, a więc i miłość małżeńska powinna trwać całe życie.

Rozwód niszczy miłość małżeńską. Rozwód poniża kobietę; poganie uważali ją za rzecz. Chr. P. podniósł kobietę i zrównał ją z mężczyzną.

Z natury swojej kobieta słabsza jest od mężczyzny, nie moralnie, ale fizycznie; ona więcej z siebie daje, daje dzieciom ciało z ciała swego, krew i kości z krwi i kości swoich, stąd prędzej się wyniszcza i staje się niezdolną do pożycia małżeńskiego wtedy, kiedy mężczyzna pełen jest sił i energii; wówczas mężczyzna musi się opanować i w karby ująć.

Rozwód zdaje kobietę na wolę mężczyzny. Meterling, ten natchniony pisarz, miał żonę, z którą był bardzo szczęśliwy, która dała mu natchnienie do dzieł, które pisał. Kiedy doszedł do lat 70 porzucił ją, a wziął za żonę młodą 17 letnią panienkę.

Streszczając co było już powiedziane powtarzam, że rozwód niszczy sakr. małżeństwa, rozbija rodzinę i społeczeństwo, jest nieszczęściem dla dzieci, bo fabrykuje pół sieroty, zmniejsza miłość małżeńską, poniża kobietę.

Niektórzy mówią, że dzieją się tragedje z powodu źle dobranych małżeństw. Czy niema większych tragedji tam gdzie są rozwody? Ko-

ściół bynajmniej nie zachęca do niedobrych małżeństw, chce aby małżeństwa były dobre. Mówią ludzie, że dużo małżeństw zawiera się bez miłości. Kościół wymaga wzajemnej miłości małżonków, a zwłaszcza miłości do dzieci. W praktyce jednak, w poszczególnych wypadkach, ten i ów mówi „ja nie mogę wytrzymać“. To egoizm szatański. Małżeństwo zostało ustanowione nie dla wygody, nie dla przyjemności, to jest służba. Tak w małżeństwie jak i w celibacie są przyjemności ale są i cierpienia. Kto pojmuje małżeństwo jako służbę, ten cierpienie znosić potrafi.

Czy nie można udzielić rozwodu w wyjątkowych wypadkach? Kościół nie zna wyjątków, jeden wyjątek pociąga za sobą drugi, i tak dalej, jak kamień, który się toczy z góry pociąga za sobą inne kamienie. Formuła przysięgi małżeńskiej jest: nie opuszczę cię aż do śmierci. Ta przysięga stanowi nierozzerwalność małżeństwa. Chcąc ją zmienić, musiałby kościół wykreślić ją z ksiąg swoich od najdawniejszych czasów, z ksiąg św. Augustyna, Ambrożego i innych świętych biskupów i zastąpić ją inną przysięgą, a mianowicie taką: ślubuję ci miłość, wierność, ale jak spokam kogoś piękniejszego, kogoś kto mi się podoba, to cię opuszczę i pójdę za nim. Taka przysięga byłaby operetkową, a kościół nie jest przedsiębiorcą przedstawień operetkowych.

Był czas w Polsce karnawałów rozwodowych i po tym karnawale nastąpił 150 letni post. Pamiętajmy, że bywają posty, które się nigdy nie kończą.

Lud wiejski ma dobre poczucie prawdy. Na jednym z ludowych wieców, który się odbył w kwestji rozwodów, wszystkie wieśniaczki oświadczyły co do jednej: Podpiszemy nie atramentem, ale krwią, że nie chcemy rozwodów.

Co Bóg złączył niechaj człowiek nie rozłącza. (Mat. 19)

Z kazania Ks. A. Chmielewskiego.

— o o —

Wycieczka w Tatry (urywek z listu).

Chcę się podzielić wrażeniami z wycieczki, która była cudowna. Przeszliśmy Orlą Perć od Zawratu, aż po koniec Granatów. Taka wędrowka graniami, to coś przepięknego. Człowiek czuje się wolnym i szczęśliwym jak ptak.

Na Perci pułki, wskutek ogłoszenia przez Two Tatrzańskie, że z powodu popsutych w kilku miejscach klamer, droga niebezpieczna. To też jacyś żydkowie odradzali nam wycieczki, ale nam się szło wspaniale, tem lepiej właśnie, że w samotności.

Skorośmy się zmęczyły, kładłyśmy się na skałe i zasypiałyśmy twardo, by potem wzmocnione snem ruszać w dalszą podróż.

Czasami znów, nie mogłyśmy oderwać oczu od cudnego widoku, szczególnie pięknym jest widok z Zamarzłej Turni i z Granatów.

Miałyśmy/ tragikomiczną przygodę na tle żywnościowym, bo zaopatrzyliśmy się tylko w kawałek czekolady, dwa kawałki suchara i kawałek kabanosa na osobę. Trzeba było wędrować o pustym żo-

ładku: Ale to nic, czułyśmy się naprawdę lekko... W czwartek ruszyliśmy przez Liljowe Zawory do Ciemnych Smereczyn i objęliśmy w posiadanie szalas pasterski, a właściwie Twa Tatrzańskiego.

Nazajutr raniusieńko wyruszyliśmy na Krywań, dziką myśliwską ścieżką, obecnie zamkniętą dla turystów i wskutek tego zupełnie pustą. Była to wędrowka poprzez zaczarowaną krainę. Taka tam bujna i bogata roślinność, jakiej u nas niestety niema.

Całe podnóże Krywania porośnięte jest gęsto lasem limb olbrzymich starych, to znów wyżej nasze kosówki, a jeszcze wyżej gęsta i po kolana wysoka trawa, aż wreszcie i jej zbraknie i kroczy się już po wielkich maliniakach i po skalnych złomach ku szczytowi, który od strony przeciwej stromo w dół opada.

Niema tam gdzieśmy szły drogi, więc choć łatwa wycieczka jednak niezmiernie ciekawa.

Szłyśmy w strasznym skwarze słonecznym, a po wejściu na szczyt zaczęły nas nagle otaczać mgły, które przewalały się u podnóża.

Miałyśmy naprawdę dziwne szczęście, bo na Krywaniu zobaczyłyśmy nader rzadkie zjawisko, o ile się nie mylę t. zw. „zjawisko Brockena”. Z jednej strony w dole miałyśmy wał mgły, z drugiej chwili przeświecało słońce i wówczas widziałyśmy każda swą sylwetkę odbitą jak w zwierciadle na chmurach, na onej mgle. Od sylwetki rozchodziły się w krąg promienie, a potem półkole cudnej tęczy.

Było to coś tak pięknego jak marzenie. Zdawało się nam, że widzimy tam nasze dusze. Obyż one były tak piękne, jak to zjawisko!

Ach jak byłyśmy wszystkie szczęśliwe, gdy tylko słońce choć na chwilę błysnęło, leciałyśmy na krawędź skalną, by ujrzeć siebie na chmurach. Słońce uśmiechnęło się do nas parę razy, a potem zasnęło się takimi grubymi chmurami, że zrozumiłyśmy, że na ten raz dość i że te mgły nie są zbyt bezpieczne, no i zeszyliśmy w dół ku myśliwskiej drodze i to w szybkim tempie by nie być zaskoczone przez coraz gęstniejące na szczycie mgły.

Tu nowa niespodzianka, tem miłsza dla mnie specjalnie, że to ja ją pierwsza spostrzegłam. W gąszczu kosówek stała sobie najspokojniej śliczna kozica. Widać nieprzyzwyczajona do widoku ludzi, bo zgłupiała i ani drgnęła. Patrzała na nas przez chwilę, dopiero gdy usłyszała nasz okrzyk podziwu, pomknęła szybko w górę.

W sobotę żegnaliśmy z żalem ciemne Smereczyny i powędrowaliśmy znów na halę Gąsienicową. Tam góry na pożegnanie uraczyły nas wspaniałą i groźną burzą.

Tak się skończyła ostatnia w tym roku wycieczka w góry. Mam jeszcze pełną duszę różnych barw, kształtów i woni, bo i strasznie mi tęskno za dymem watry. Ale to nic, czuję że wyniosłam z gór cały zapas radości i energii i zapału do pracy, a to chyba najważniejsze.

Wiadomości.

I. H.

Październik choć pogodny nie sprzyjał dalszym wycieczkom, bo dnie już znacznie krótsze, a powietrze mimo pogody chłodne, jakby mroźne. Dużo nowych uczenic zaludniało Zakład, wdrażają się one stopniowo do pracy i rygoru, okazują dużo dobrej woli, ale milczenie i ranne wstanie najtrudniej im przychodzi. Weszliśmy w okres spokojnej poważnej pracy. Mamy do pomocy kilka bardzo dobrych nauczycielek.

P. Justyna Zaleska z p. A. Strawińską pojechały dla interesów do Kórnicka i trafiły na wystawę ogrodniczą w Poznaniu, tak wspomniała, że p. Antonina Kaczmarek, która zajmuje się naszym ogrodem w Kuźnicach wezwaną została aby ją oglądać.

Uczenice, które nas niedawno opuściły, donoszą o sobie, niektóre listy są bardzo miłe. Jedna z nich pisze: „Przyjechałam do domu dzięki Bogu szczęśliwie i cieszę się swymi drogimi, a jednak myślą często jestem w Zakładzie. Nadchodzą chwile, w których chciałabym wiedzieć, co tam porabiają moje koleżanki, z którymi się w ciągu roku tak zżyłam, a bez których jest mi jakoś dziwnie. Poglądy na świat i ludzi, jakie nabrałam w Zakładzie, dzięki dobrym zasadom wpajającym we mnie, są mi gwiazdą przewodnią, która prowadzi i daje zadowolenie.

Ułożyłam sobie plan codziennego postępowania, który różni się tylko tem od programu zakładowego, że wyznaczyłam sobie więcej wolnego czasu na czytanie i spacer w towarzystwie siostry i brata.

W domu zauważyli we mnie po całorocznym rozłączeniu, duże zmiany na dobre, z czego jestem zadowoloną i staram się być jeszcze lepszą.

Inna donosi: pracę swą rozłożyłam na pracę w konserwatorjum, pracę nad sobą, pracę społeczną i w domu. O społecznej napiszę w następnym liście.

Za kilka dni przyjeżdżają nowe uczenice, a między nimi i nowe ananasy takie jak my. Jednak te ananasy najwięcej Zakład pokochały, zrozumiały i najwięcej z niego wyniosły, mimo ustawicznych trudności.

Teraz będąc oddalonym od niego i narażonym od początku na niejedne trudności, widzi się, ile się z Zakładu wyniosło, ile rzeczy stało się podpora.

Śluby.

P. Jadwiga Dymowska wyszła za p. Ignacego Barcikowskiego ślub odbył się 29/VI w katedrze w Lublinie.

P. Marja Thielówna wyszła za p. Leona Kikuta, ślub odbył się 12/X w Garcu w kościele parafijalnym.

P. Stanisława Kmietowicz wyszła za p. Stanisława Kmietowicza. Ślub odbył się w kościele parafijalnym Krynica-Zdrój.

P. Wiktorja Kaiserówna wyszła za p. Władysława Mroczkowskiego. Ślub odbył się d. 14/X w kościele farnym w Poznaniu.

Święć im Boże.

Intencja na grudzień.

Modlitwa o pokój w rodzinach, społeczeństwie, w krajunaszym i między wszystkimi narodami.

Praktyka.

Błogosławieni pokój czyniący albowiem ich jest królestwo niebieskie. Utrzymywać pokój we własnej duszy i być szercielką pokoju wśród swego otoczenia.